

Janusz Nyczak wszystkimi swoimi realizacjami teatralnymi udowodnia, że jest reżyserem ahistorycznym. Nawet jeżeli pokazuje, a przecież ostatnimi laty pokazuje, polskie dramaty, dramaty polskiej historii i dramaty Polaków – to pokazuje je zatrzymane w t e r a z, a nigdy poprzez komentarz historyka, filologa bądź historyka teatru. Pokazuje w ten sposób najgłębiej i najbardziej poruszająco ich aktualność, ich trwanie, ich prawdę. Nie komentarz historyczny, nie mit szabli ułańskich, husarskich i pawich piór. Być może dlatego właśnie Wernyhora jako postać w „Weselu” jest tak bardzo zwyczajny, że aż budzi głęboki protest. Być może Nyczak nie chce, a być może nie potrafi zbudować mitu w jego cielesnej postaci. Buduje za to rzeczywistość psychiczną, która tym mitem żyje, która jest jego uwiarygodnieniem.

Spora rozbieżności i kłopotów demonstrowają recenzenci wobec tego spektaklu. Ile interpretacyjnej nadbudowy, warsztatu historyka i filologa, ile wiedzy historycznej i teatralnej leży bezużytecznie obok pustej kartki na recenzję. To przecież nie ten warsztat, nie ten klucz. I czy to jest siła Nyczaka, czy jego słabość? I czy to jest słabość krytyka i jego poczucia obowiązku i zawodowej powinności? Albo siła kompromisu? Jak łatwo wpaść w tę pułapkę pokazać przykład Hanuszkiewicza i jego znakomitej, niezwykle precyzyjnej wykładni interpretacyjnej Wyspiańskiego. Bo spektakl dyplomowy przygotowany przez niego ze studentami Łódzkiej PWSTFiTV sam w sobie był jedną wielką tautologią. Nałożony nań pancerz interpretacyjny zawładnął nim

„WESELE” WŁASNYCH DOŚWIADCZEŃ

Ewa Piotrowska

tak jednoznacznie, że spektakl był po prostu niemal niepotrzebny w całym swoim dwugodzinnym trwaniu. Zbyt mechanicznie, zbyt apodyktycznie, nałożył Hanuszkiewicz, lub przełożył Hanuszkiewicz swoje myślenie na teatralne działania i sprowadził je do jednowymiarowej, jedynie słusznej interpretacji, bez niuansów, bez możliwości własnej refleksji, przeżycia i cienia prawa do dyskusji. Na naszych oczach odbywały się wszystkie fakty, z którymi Wyspiański dyskutował. Bo przecież dyskutował. To jest bardzo znaczący komentarz, ten dialog postaci. U Hanuszkiewicza był krzyk zaguszający sensory. Zobaczyliśmy współczesne żałosne, wymódlone, zapite wódką wesela. Skoro nie ma, czym się fascynować, to nie ma nad czym myśleć, i nie ma o czym wystawiać (i pisać) „Wesela” I cóż ma tu do roboty Szela, Stańczyk czy Wernyhora. Jest zresztą konsekwentnie przez Hanuszkiewicza

ośmieszony, jakiś Święty Mikołaj z prezydentem dla Gospodarza. To chyba trochę za prosto, za łatwo. Gospodarz oszukany przez historię? Przez swoją naiwną wiarę? Ale jakże uwierzyć w takiego Wernyhora ...

„Wesele” Nyczaka jest właściwie w swej formie dosyć tradycyjne, jest wierną realizacją wskazań Wyspiańskiego. Słęgnijmy zatem do samego Wyspiańskiego. To jasne, że gdy w 1900 roku stał oparty o drzwi izby i oglądał tę społeczność krakowską – polską rzeczywistość, zamkniętą w weselnej izbie jak w pigułce, sam żonaty z chłopką, świadomy i historii i poezji, i codzienności, świadomy, że Polska jest tylko w nich, a poza

nimi jej nie ma, wiedział więcej, i dokonywał rozbiórki polskiej duszy poprzez nich – uczestników wesela. Ich zewnętrzności i ich mentalności. Pisze o tym w didaskaliach w sposób, podpowiadający dosyć jednoznacznie obowiązek bardziej skomplikowanego oglądu: „Noc listopadowa, w chacie świetlicy. Izba wybielana na siwo, prawie błękitna, jednym szarawym tonem półbłękitu obejmująca i sprzęty i ludzi, którzy się przez nią przesuną. Przez drzwi otwarte z boku, ku sieni, słychać huczne weselisko (...) I cała uwaga osób, które przez tę izbę – scenę przejdą, zwrócona jest tam, ciągle tam; zastuchani, zapatrzeni ustawicznie w ten tan, na polską nutę ...”

Czym broniło się miasto zapatrzone w paryskie salony? Broniło się być może właśnie przywdziewając kabaty i pawie pióra i tu poszukiwało polskiej odrębności. Obrazy, którymi Wyspiański udekorował tę chłopską polską izbę miały głębsze znaczenie mityczne i historyczne dla tych, którzy mieli świadomość i wiedzę, im ukazywały się potem jako osoby dramatu.

Wojciech Natanson pisał po Warszawskich Spotkaniach Teatralnych, że poznańskie „Wesele” jest za mało krakowskie. I to jest bardzo trafna uwaga – jest to bowiem „Wesele” ponadregionalne – ponad krakowską anegdotę i realia historycznej prawdy i „Plotki o Weselu”. Ma za to swoją własną plotkę. To przecież niewątpliwie dramat inteligencji, dramat inteligenta i artysty, który wie i czuje, daje się ponieść marzeniu, poezji, daje się pochłonać pięknosciom poezji, ale widzi także klęskę własnych koncepcji, prób i działań, lub wydumanych tylko sposobów na życie, na tę wewnętrzną Polskę.

I tak to widzi Nyczak. Ożywia te problemy, które okazują się zadziwiająco aktualne. Jak własne wybory, decyzje, koncepcje na życie, sprawdzają się w życiu jednostkowym i społecznym. Ny-



Lech Łotocki, Wiesław Komasa, Michał Grudziński w „Weselu” Fot. Mariusz Stachowiak

czak lubi rozmaite klucze i tajemnice przy aktorskiej obsadzie sztuk, które reżyseruje. Lubi pokazywać aktorowi w pewnych aspektach roli jego – aktora własny los. To daje dodatkowe znaczenia i niezwykłą prawdę budowanych postaci. Zabiera być może efektowną dynamikę wynikającą z konstruowania formy, budowania roli sposobami, zewnętrzną prawdą. Ale daje się zapatrzeć w tę izbę obok, której nie widać, a która jest w nas. Wszystko tutaj jest jak u Wyspiańskiego. Takie obrazy, taki świecznik, takie charaktery, takie zachowania. A jednak przebija jakaś prywatność poprzez tę sceniczną wersję. Żadnych szczególnie efektownych czy efekciarskich pomysłów. Scenografia i kostiumy autorstwa Michała Kowarskiego w zasadzie zgodne są z didaskalią.

Jakby celem realizatorów była rekonstrukcja zdarzeń i poprzez nie rekonstrukcja myśli i przeżyć.

Pan Młody (Leszek Łotocki), inni niż dotychczas oglądani, uwierzytelnia jakoś tę postać, jakby sam siebie chciał przekonać do jej prawdy. Panna Młoda (Dorota Lułka) przełamuje manierę cepeliowską – jest świeża, naiwnie ufna i niezwykle zwyczajna. Poeta (Michał Grudziński) zblazowany i znudzony, jakby co innego zajmowało jego myśli. Rzeczywistą sublimacją poezji, jej czaru i kruchej siły jest Rachel (Bożena Krzyżanowska), pełen swoistej mądrości i dystansu Żyd (Henryk Abbe), bardzo świadomy Gospodarz (Wiesław Komasa), ma w sobie od pierwszej sceny to wszystko – tę wiedzę gorzką i ważną nie tyle co Gospodarz, ile co Wyspiański. Jasiiek (Waldemar Szczepaniak) to bardziej świadoma, szlachetniejsza wizja marzenia, problemów z „Turonia”, dobrze skonstruowany z rolą Kaspra – (Maciej Kozłowski). Czepiec jak żywy (Tadeusz Drzewiecki), fascynująca kobiecością Maryna (Daniela Poptawska), pełna

przegranej godności Czepcowa (Kazimiera Nogajówna), dobrodusza Klimina (Sidonia Błasińska), każda zresztą z postaci tego przedstawienia jest prawdziwa i wiarygodna w jakiś szczególny sposób. Każda broni swych racji bez zaciekości i bez ironicznych złośliwości – to odrębny, jednostkowy los daje podstawy do odrębności sądów.

Sprzeniewierza się być może taka koncepcja konwencji krakowskiej szopki i jej postaci z przypisanym im automatyzmem interpretacji. Pisze się o tym przedstawieniu „narodowa stypa”, „narodowa psychodrama” i to jest najbliższe prawdy, bo tak jest u Wyspiańskiego w gruncie rzeczy. Mówi się i pisze o braku autoironii, braku efektownej formy, ale Wyspiański sam demaskuje „Farbowany fałsz”. „Wesele” to nie radosne cepe-

liowskie widowisko, tylko to wszystko, co się za tym kryje. Nyczak nie usiłuje wymyślić specjalnego chwytu na II akt i „osoby dramatu”. Nie próbuje ich uprawdopodobnić jakimś teatralnym chwytym. Przeciwnie – pokazuje je zwyczajnie, pokazuje, że to tylko teatr. Za to przez całe „Wesele” Nyczaka czujemy wyraźnie ich obecność. One są „ciągle obecne w nich” i chociaż na scenie niewiele się dzieje, to istnieje napięcie wewnętrzne tego przedstawienia, wynikające z głębszego, totalniejszego potraktowania osób dramatu. Nastąpił proces odwrotny – osoby jako takie ważniejsze są i bardziej nacechowane dramatyzmem niż właściwe „osoby dramatu”.

To dużo trudniejsze, i dlatego uważam ten spektakl za sukces reżysera i aktorów, przy wszystkich słabościach, które można by wyliczać, gdyby się chciało udowodnić, że ma się „mędrca szkiełko i oko”. Tylko po co. Chodzi przecież o coś więcej. Chodzi o przeniesienie problemów, niepokojów i przeżyć Polski „wewnętrznej”. Obrazki się zmieniają, historia się zmienia, nie zmienia się wszakże fakt, że ojczyzna, inteligencja, artyści i chłopi, to nie abstrakcyjne hasła i obrazki. Że te postawy ludzkie coś wyrażają i niosą zawsze. Że to jest o nas. Postaci tego „Wesela” właściwie nie stają się i nie zmieniają. Wszystko co się miało stać, już się stało. Są gotowe są ze swoją świadomością, która w ich różnorodności buduje dopiero napięcia między postaciami, i refleksję nad sobą. Być może aktorzy nie budują misternie wielkich kreacji, które odnosiłyby się do historii recepcji „Wesela” na scenach polskich. Nie nawiązują do wielkich poprzedników, a nawet jakby demonstrują swoją wobec nich obojętność. Z całą świadomością grają całkiem własne „Wesele”, odbierane ze szczególną uwagą przez młodą widownię, zmęczoną filologicznym rozbiorem „dramatu symbolicznego”. Odkrywają jego wewnętrzne sensy, rozumieją je. Być może właśnie dlatego, mimo pozornego braku atrakcyjności tej inscenizacji, że własne, prywatne ludzkie problemy i wybory, nadzieje, śmiech i klęski każe Nyczak uwierzytelnić poznańskiemu zespołowi. Każe im zagrać „Wesele” poprzez doświadczenia, których nam przecież współczesność (historia i prywatność) nie skąpi, a nie przez tradycję, sztukę i historię zapisaną w podręcznikach. Jest kilka ról, które w tym spektaklu urzekają, kilka, które denerwują, ale odkrywają jakieś inne aspekty postaci. Są i takie, które przenoszą błędy i ułomności – ale ile ich było w uczestnikach wesela Rydla?

To co Wyspiański ze sfery prywatności wyniósł do mitologii, kreacji sztuki, jej najwyższego symbolicznego wymiaru, Nyczak z powrotem prowadzi do prywatności. Narodowe hasła i świadectwa wypełnia treścią skromną, ale najprawdziwszą. W tym paszkwiliu na Polaków – jak chce Hanuszkiewicz – woli pokazywać nie tyle nasze karykatury, co nasze niepokoje. Zadziwiająco głęboką prawdę o ludziach wyraził Wyspiański w kunsztowny artystycznie sposób. Janusz Nyczak nie stawia na kunsztowność, ale na wewnętrzną prawdę.

I dopiero ostatnia scena – zatracająca się w chocholim tańcu kolejne pokolenie, bez próby przełamania czaru, z determinacją, i bez nadziei – skonstruowana jest jakimś zaczepnym, ironicznym muzycznym komentarzem (Zygmunt Konieczny – muzyka). „Wesele” w reżyserii Janusza Nyczaka i w wykonaniu aktorów Teatru Nowego jest mądre i przejmujące, a w swej koncepcji scenicznej na tyle odrębne, że będzie się je pamiętało.

Ewa Piotrowska